

Małe dzieci na wiejskich podwórkach są w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Żywe srebro

Od wiosny do późnej jesieni prasa alarmuje: „Trzyletni chłopczyk walczy o życie w szpitalu klinicznym - spadł z przyczepy wypełnionej zbożem, uderzył głową o dyszel”, „Do szpitala trafiły maluchy ze zmiądzłymi nogami!”, „Pięcioletni Arkadiusz spadł ze zgrabiarki do siana i nadział się na jej grabie”, „Pięciolatkowi maszyna do mielenia ziarna urwała rączkę”. Czytając takie artykuły zastanawiamy się, jak to możliwe, by rodzice nie dopilnowali? Kto pozwala, aby młody i słaby wykonywał w gospodarstwie ciężkie, niebezpieczne prace?

O tym, że gazety nie opisują wymyślonych zdarzeń przekonują tragedie, jakie rozgrywają się u sąsiadów, w drugiej czy trzeciej wsi. Sygnały o nich znajdziemy nawet w cotygodniowych „Kronikach policyjnych” „TS”.

KTO PILNOWAŁ MATEUSZA?

W rodzinnych gospodarstwach rolnych jest tak, że pracy wystarcza dla wszystkich domowników. Każdy w okresie jesieni, gdy na polach trwają orki, a później wykopki, musi wykonać swój przydział zadań. Dzieci, nawet małe, biorą przykład z dorosłych i też chcą być przyteczne. Gdy ojciec 2-letniego Mateusza i 8-letniego Tadeka z G. wyjeżdżał w pole, by pozwozić worki z ziemiakami, chłopcy bez pytania wspięli się na konny wóz ciągnięty przez tzw. „esiaka” (samodzielnie zbudowany traktor). Jak ojciec ruszył, starszy brat pilnował, by Mateuszowi nie stało się na wozie nic złego. Polną drogą ujechali nie dalej niż 500 metrów od domu.

— Tato, a będę mógł usiąść na siedzeniu kierowcy? Pozwolisz? Pozwól, pozwól! — nie dawał ojcu spokoju Tadek, gdy „esiak” zatrzymał się na kartofliksu.

— W porządku, ale pilnuj Mateuszka — zadecydował mężczyzna.

Nie odszedł od „esiaka” daleko, gdy usłyszał płacz młodszego syna. — Pewnie znowu chłopczyńska się dra, bo mały coś sobie upatrył, a starszy nie chce mu ustąpić! — pomyślał ojciec i po chwili podniósł wzrok znad ziemniaków, popatrzył w stronę „esiaka”... — Choler! — zaklął szpetnie. — Nie widać malca! Coś złego musiało się stać! — myślał błyskawicznie, podbiegając w kierunku swych dzieci.

Mateuszek leżał przy jednym z kół ciągnika. Nie ruszał się, ale zanosił się płaczem. Tadek stał skamieniały przy kierownicy i nie mógł wydusić słowa. Ojciec domyślił się, że dwulatek spadł z „esiaka”. Ze spokojem, na jaki tylko było go w takich okolicznościach stać, zadawał starszemu chłopcu

pytania. — Czy Mateusz uderzył w żelazne części? Tak? A czym, nogą? Nie? Głową?

Tadek pokiwiał potakująco. Ojciec chwycił Mateuszka na ręce. Starszemu kazał biec do domu. — Niech mama dzwoni na pogotowie!

Mateusz trafił do szpitala. Najpierw do Łukowa, później do Siedlec. Lekarze stwierdzili pęknięcie kości potylicy i wstrząśnienie mózgu. Szczegółowe badania nie wykazały poważniejszych urazów. Lekarze rokowali szybki powrót do zdrowia. Tadek o tym nie wiedział i gdy w domu w G. zjawili się policjanci, by spisać zeznania na temat wypadku, przeraził się i rozplakał. Sądził, że policja zabierze go za to, że nie dopilnował młodszego brata.

POSZŁA OLA DO...

Wcale nie do przedszkola, jak by się chciało dokończyć te słowa z dziecięcego wierszyka. Ola z S. jest zdecydowanie za mała. Miała ledwie 7 miesięcy, gdy ciekawość świata zawiodła ją do... obory!

Rodziców dziecka akurat nie było w domu, bo pracowali na polu. Małą dziewczynką opiekowała się jej 12-letnia siostra Kasia. Ale Kasia miała też polecone, by pod nieobecność rodziców zrobić porządek w tzw. letniej kuchni. W trakcie pracy starszej dziewczynki mała zniknęła jej z oczu. Ten moment nieuwagi wystarczył, by doszło do tragedii, która nie musiała się wcale wydarzyć.

Ola przez niezamknięte i niczym niezabezpieczone drzwi obory dostała się do wnętrza pomieszczenia, gdzie aż roi się od niebezpieczeństw czyhających na tak małe dziecko. W oborze, w niewyjaśnionych okolicznościach, wpadła do plastikowego pojemnika z wodą. I to bardzo nieszczęśliwie, bo głową w dół. Dziecko nie mogło nawet krzyczeć, bo się topiło!

Dobrze, że Kasia dość szybko spostrzegła, że siostry nigdzie nie widać i wszczęła alarm. W końcu dziecko odnaleziono. Ola żyła, choć była nieprzytomna, gdy pogotowie zabrało ją do szpitala w Lublinie.

Prokuratura prowadzi w tej sprawie śledztwo i szczegóły zdarzenia objęte są tajemnicą. Z rodzaju zarzutu postawionego opiekunom można wysnuć wniosek, że Ola przeżyła. Jaki jest jednak jej stan zdrowia - na razie nie wiadomo, ale tragedia odcisnęła piętno na rodzinie z S., a szczególnie na nastoletniej Kasi, która nie dopilnowała siostry. Ale przecież to nie ona jest winna temu, co zaszło!

JESIENNA WODA

Państwo Andrzej i Monika Murawscy, młode małżeństwo z F., prowadzą gospodarstwo rolne przejęte od rodziców Andrzeja. Mieszkają też wspólnie z jego rodzicami. Dwa lata temu świętowano w ich rodzinie, bo na świat przyszedł Maciek, pierworodny synek. O tym, jak ojciec, szczególnie w tradycyjnych ro-

dzinach na wsi, oczekuje narodzin syna, wiadomo nie od dziś.

Ludzka bezmyślność uruchomiła ciąg zdarzeń, które położyły kres radości w rodzinie Murawskich. Młodzi rodzice obserwowali, jak ich synek się rozwijał. Każdy dzień przynosił nowe wrażenia. Aż wiosną tego roku doszło do tragedii.

Zapadał marcowy wieczór, było wpół do siódmej. W gospodarstwie wszyscy zajęci jeszcze różnymi pracami: Andrzej w polu rozsiadł się na wóz, jego matka w domu prała, a ojciec wyszedł do sąsiada. Nadchodził czas wieczornego obrządku. Monika ubrała Macka i wyszła z nim na podwórze. Chłopek trzymał się w pobliżu matki, gdy ta wykonywała różne czynności przy inwentarzu. — Koło godziny 19 poszłam do obory wybrać obornik od 20 minut. Maciek zniknął mi z oczu na 20 minut! — rozpaczła młoda kobieta.

Tuż koło obory na dwóch ceglach stała żeliwna wanna kąpielowa, aż po otwór przelewowy wypełniona gnijącą wodą (nie zmienianą od jesieni poprzedniego roku!). Latem z wanny piły wodę krowy, ale później była niepotrzebna. Gdyby wypuszczono z niej wodę...

— Zaniepokojona zaczęłam poszukiwać syna w obejściu i w domu. Byłam też u sąsiadów. Mojego Macka nigdzie ani śladu. Wracam, a tu wita mnie teściowa i mówi, że Macka znalazł Andrzej. Wbiegam do domu. Dziecko moje leży nagie na tapczanie, nie daje oznak życia. Mąż płacze...

— Monika zrelacjonowała później przed prokuratorem prowadzącym dochodzenie.

Andrzej pierwszy dostrzegł chłopca w wodzie. Wyciągnął go i rozpoczął sztuczne oddychanie. Mimo jego wysiłków, na ratunek było za późno. Lekarz pogotowia stwierdził zgon z powodu utopienia. Prokurator uznał, że to nieszczęśliwy wypadek.

ROZGARDIASZ NIEBEZPIECZNY DLA ŻYCIA

O małych dzieciach zwykło się mówić, że są żywym srebrem. Ruchliwe, energiczne, ciekawe świata. Wszędzie chcą wejść, wszędzie dotknąć albo jeszcze lepiej - wszystko robić tak jak dorośli. Lecz na wsi, w gospodarstwie rolnym, małego dziecka na moment nie można pozostawiać bez opieki! Tam, gdzie są małe dzieci, trzeba stosować różne zabezpieczenia i takie rozwiązania techniczne, które pozwolą zminimalizować niebezpieczeństwo wypadków z udziałem najmłodszych. Podwórkowy rozgardiasz: pootwierane stodoły i obory, pozostawione maszyny, urządzenia, a nawet beczki czy wanny z wodą okazują się śmiertelnie niebezpieczne dla dzieci. Nigdy o tym nie zapominajmy!

PIOTR GICZELA

Imiona i nazwiska niektórych bohaterów reportażu zostały zmienione.